

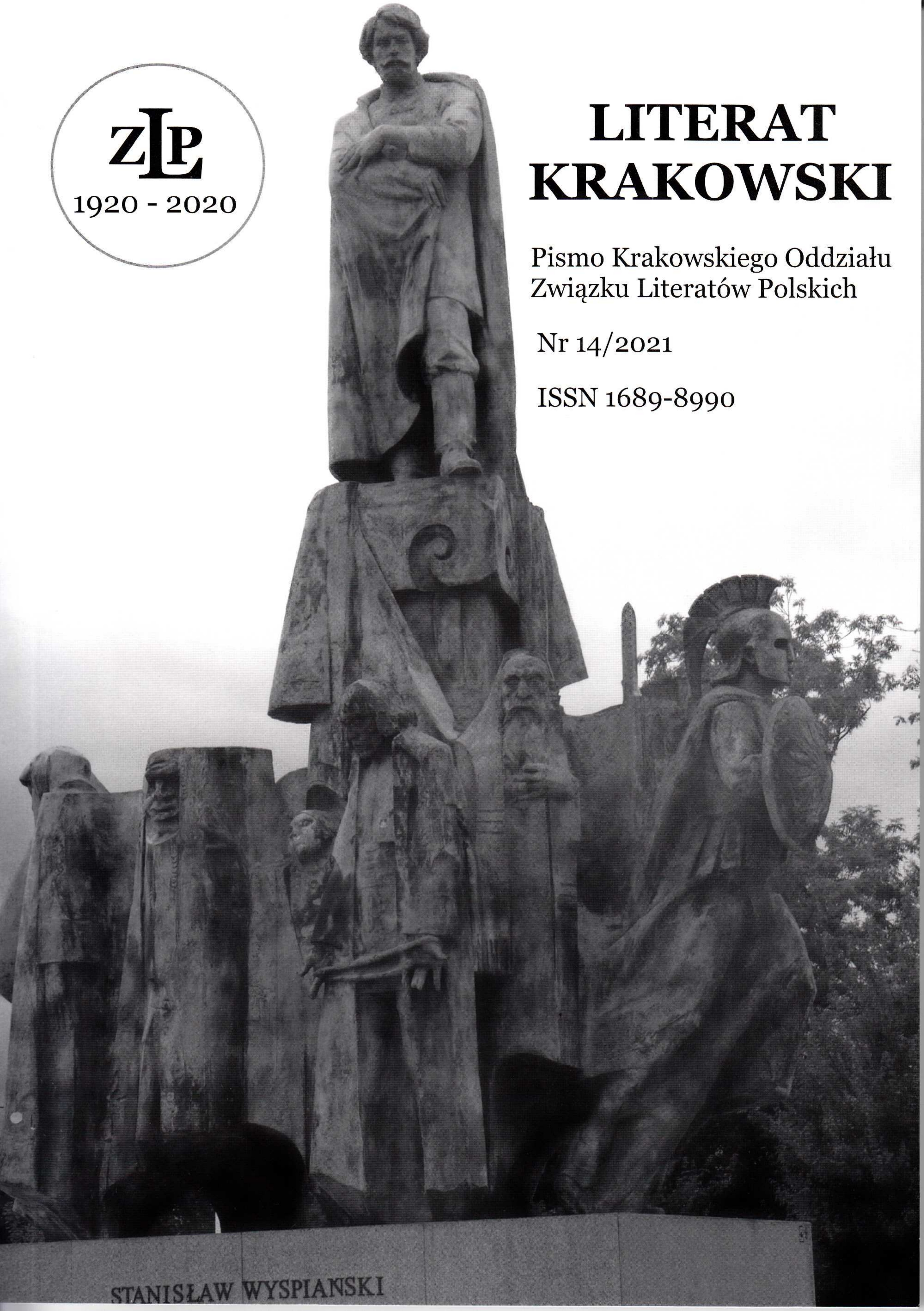


LITERAT KRAKOWSKI

Pismo Krakowskiego Oddziału
Związku Literatów Polskich

Nr 14/2021

ISSN 1689-8990



STANISŁAW WYSPIAŃSKI



JOANNA POCIASK-KARTECZKA

PODRÓŻ JEDNEGO DNIA (POLARNEGO)
(fragment opowiadania)

**8 VI 1983 rok, godz. 12:40 czasu moskiewskiego,
pociąg relacji Moskwa – Murmańsk**

Pociąg dotarł do Moskwy planowo. Ledwo obudziliśmy się rano, zjedli śniadanie, posiedzieli, a Moskwa i jej przedmieścia ukazały się naszym oczom. Sam dworzec – bardzo nieciekawym, przeciętnym. Dworzec Białoruski. Z tegoż dworca należało przejechać na Dworzec Leningradzki, z którego odjeżdżają m.in. pociągi do Murmańska i Leningradu. Adam* wykazał się swoją operatywnością i dosłownie w ciągu kilku minut znalazł samochód – coś w rodzaju naszego żuka – z dużą budą. Do niego załadowaliśmy sprzęt i siebie w tempie bardzo szybkim. Większość ulic, którymi jechaliśmy była szeroka, przestronna. Samochodów osobowych nie zauważyliśmy wiele. Były to pojedyncze pojazdy. Natomiast mnóstwo gruzowików, żółtych itp. z towarem lub bez.

Dworzec Leningradzki okazał się dworcem nowoczesnym, dużym, przestronnym, z popiersiami Lenina (podobno na ten dworzec, w którymś roku, przyjechał Lenin). Złożyliśmy rzeczy w jednej z poczekalni i zaczęło się czekanie oraz pełnienie dyżurów przy bagażach. Najciekawszym zajęciem w czasie takiego dyżuru było obserwowanie pojedynczych osób i rodzin, które spędzały w poczekalni bardzo dużo czasu. Koloryt całego pospólstwa bardzo smutny. Twarze nieciekawe, pozbawione wyrazu, który można by jakoś jednoznacznie określić. Nad tymi ludźmi czuwa armia, której przedstawiciele w osobach stójkowych zaopatrzonych w krótkofalówki zaglądają co kilkanaście minut do poczekalni i w bezczelny sposób wpatrują się w twarze podróżnych.

Po odbyciu swojego dyżuru nasza grupka w liczbie czterech osób mogła wreszcie wyruszyć na ulice Moskwy. Zabraliśmy aparaty fotograficzne i z lekkim wzruszeniem rozpoczęliśmy spacer po mieście. Dochodząc do Kremla zauważyłam, że ludzie na ulicach wyglądają zupełnie inaczej niż ci, którzy przebywają w poczekalni na dworcu. Tak, różnica była bardzo widoczna. Ci bliżej centrum byli lepiej ubrani, bardziej eleganccy, wiele twarzy wręcz „dystyngowanych”.

Na Placu Czerwonym nie omieszkałam sobie zrobić zdjęcia na baczność przed Mauzoleum Lenina, które mimo zamknięcia było obleżone przez turystów. Mauzoleum strzeżone jest przez dwóch żołnierzy wyglądających jak malowane kukły. Nie omieszkałam również uwiecznić na kliszy pary młodożeńców, którzy podążali ku Mauzoleum aby złożyć Wodzowi wiązanek kwiatów. A kwiaty tego roku w Moskwie coś słabe. Chyba, że to tak zawsze. To nie Kraków zasypany kwiatami, obleżony przez

kwiaciarki. Szaleńczo w sezonie w Moskwie były piwonie i to tej najgorszej jakości. Tutaj o kwiaciarkach nie ma mowy a kwiaciarnie państwowe – owszem, zaopatrzone są w kwiaty ale... sztuczne.

Łatwo zauważyć, że ludzie podążają na Kreml jak pątnicy do Mekki. Naród daje upust swoim namiętnościom przed pomnikami i przed płytami poświęconymi żołnierzom poległym podczas drugiej wojny światowej. Tam stoją, wpatrują się w gwiazdę towarzyszącą wszelkim takim obiektom, tam składają wiązanki piwonii, wieczornika lub innych kwiatów.

Sam Kreml sprawia wrażenie kryształowo-złotego miasta jakie spotyka się w bajkach, z tym tylko, że zupełnie obumarłego, martwego. Cerkwie na zewnątrz są odnowione, ale wewnątrz zamienione na muzea. Ponieważ byliśmy tam koło dziewiętnastej, wszystkie obiekty były pozamykane. Czuje się drętwotę tych obiektów, drętwotę atmosfery panującej na tym obszarze, martwość przerywaną gwizdkami żołdatów lub porządkowych z opaskami, którzy w tym gwizdaniu mają chyba osobiste upodobanie. Pamiątkami, które można kupić w kiosku otoczonym złotymi cerkwiami są Lenin w różnych pozach oraz gwiazdy i sputniki w różnych wydaniach. Czym prędzej wyruszyliśmy w drogę powrotną. Przy okazji zobaczyliśmy tłumy ludzi, Moskwiczanki, zmierzających z jakiejś okazji do Pałacu Zjazdów – budynku w stylu „modern” – usytuowanego między starymi, zabytkowymi obiektami Kremla. Standard życiowy Moskwiczanki idących do Pałacu jest chyba bardzo wysoki, w każdym razie o wiele wyższy od reszty mieszkańców miasta. To było widać po twarzach, ubiorze, gestach. Wśród zmierzających do pałacu – mnóstwo zawodowych wojskowych.

Po opuszczeniu Kremla zeszliśmy nad brzeg Moskwy. Henryk*** miał wielką ochotę pójść na koniak do kawiarni Arbat. Doszliśmy tam po długim marszu bulwarem. Arbat – opiewany w balladzie Okudźawy, okazał się dość dużą kamienicą, w której na dwóch albo trzech piętrach mieszczą się restauracje i kawiarnie. Na parterze są sklepy. Parking przed Arbatem zajęty jest przez auta typu mazda itp. Nic dziwnego zatem, że nie wpuszczono nas do środka, jak powiedziano – z powodu braku wolnych miejsc. Być może Arbat cieszy się w Moskwie taką popularnością jak w Krakowie Wierzynek czy Hawełka (?).

Na dworzec wróciliśmy metrem. Czas odjazdu pociągu do Murmańska czyli do godziny pierwszej upłynął dość szybko. Rzeczy do pociągu załadowaliśmy również dość szybko. Podróż rozpoczęła się.

Prawdopodobnie regularny stukot pociągu spowodował, że obudziłam się o dziesiątej rano. Cały dzień jechaliśmy przez tajgę. Czasami mijaliśmy rzeki, jeziora. Leningrad przespaliśmy. Po południu zaczęło pojawiać się coraz więcej jezior ale ani za grosz – gór. Drzewa rosną tutaj nieomal na litej skale. Wyglądy lodowcowe osiągnęły niesamowitą wielkość, teren pokryty jest głazami narzutowymi, do jezior uchodzą ozy – jak w podręczniku Klimaszewskiego. Rzeźba polodowcowa wydaje się tutaj być bardzo świeża. O godzinie pierwszej w nocy słońce było nad horyzontem. Niebo przybrało purpurową barwę. Potem zaległa szarość. Ponieważ czas zegarowy odpowiadał nocy, położyłam się spać. Im bliżej Murmańska tym grubość osadów lodowcowych zwiększała się. Był to materiał bardzo drobny, w którym tkwiły małe i urastające do ogrom-

nych rozmiarów głązy. Tuż przed Murmańskiem, w dolinie rzeki Kola odsłania się piękna odkrywka z takim właśnie materiałem na zboczu doliny. W dole płynie rwąca, ślizgająca się w skalnym korycie Kola.

Tak więc przybyliśmy do Murmańska, gdzie czekamy na okazję, aby zabrać się jakimś statkiem do Bartentsburga. Miasto położone jest nad Zatoką Kolską. Przypuszczam, że woda w zatoce nie jest dobrej jakości z powodu funkcjonującego dużego portu. Widać dokładnie stacjonujące tam okręty wojenne. Samo miasto – powstałe zaledwie w 1916 roku – nie jest zachwycające, tzn. nie ma w nim nic szczególnego oprócz cmentarza polskich żołnierzy i ogromnego pomnika górującego nad miastem. Jest to podobno postać Aloszy, który wysadził się w powietrze granatem, gdyż wolał umrzeć aniżeli iść do niewoli. Pomnik poświęcony jest radzieckim żołnierzom, marynarzom i lotnikom II wojny światowej. Jest ogromny, ma 35,5 m wysokości. Mieszkamy w hotelu „Arktugol” – bardzo blisko centrum. Na chwilę obecną wiadomo, iż wczoraj odpłynął statek, który mógł zabrać nas wszystkich, dziś rano odpłynął następny, który mógł zabrać część ekipy, najbliższy natomiast będzie dopiero siedemnastego czerwca, czyli przed nami – osiem dni czekania. Inne wyjście to przelot od Archangielska, skąd pojutrze odpływa statek, na który prawdopodobnie mogłaby wsiąść część naszej ekipy. Do tej pory jednak nie wiadomo ile i czy w ogóle są wolne miejsca. Tak więc istnieje masa spraw niewyjaśnionych, których przynajmniej część wyjaśnimy jutro a właściwie dzisiaj gdyż jest już po godzinie pierwszej w nocy.

10 VI 1983 rok, godz. 16:50 czasu moskiewskiego, Murmańsk

Pół godziny temu Wiesiek** przyniósł wiadomość, że za dwie godziny odjeżdżamy pociągiem do Archangielska, skąd popłyniemy na Spitsbergen. Część grupy lub całość popłynęłaby w niedzielę. Adam polecił abyśmy byli w pogotowiu, czyli siedzieli na plecakach (spakowanych) i czekali. Przyjeliśmy to do wiadomości i rozpoczęliśmy czekanie – oczywiście w nieco innych pozach aniżeli zalecił nam Adam ale byliśmy ciągle w pogotowiu. Tymczasem z Wieśkiem pognali dalej coś załatwiać. Przed chwilą przyszedł Adam i oświadczył, że nie jedziemy i znowu gdzieś pognał. Nie jest wykluczone, że za dziesięć minut wpadnie znowu i powie, że jednak jedziemy ale np. samolotem choć – jak się potem dowiedzieliśmy – samolot raczej nie wchodzi w rachubę, gdyż jako obcokrajowcy nie mamy prawa wstępu na lotnisko w Archangielsku. Przypuszczalnie ze względów strategiczno-politycznych.

Prawdopodobnie będziemy tutaj siedzieć do poniedziałku. Będzie więc czas aby pójść na cmentarz, do kina, może do teatru, może połowić ryby. Zaczęłam zatem pisać list do Janusza****. Nie dokończyłam, bowiem Wiesiek wpadł jak grom i wypalił, że jedziemy. Wobec tego szybko zakleiłam, kopertę. Niepotrzebnie. Mogłam pisać dalej ponieważ okazało się, że jednak nie jedziemy...

*Adam – Adam Krawczyk – kierownik wyprawy Uniwersytetu Jagiellońskiego na Spitsbergen

**Wiesiek – Wiesław Ziaja – uczestnik wyprawy

***Henryk – Henryk Głąb – uczestnik wyprawy

****Janusz – Janusz Karteczka – mąż autorki